



Mirosław Darecki
NA ŚCIEŻKACH POLSKICH KOMANDOSÓW (IX).
WZGÓRZE ANIOŁA ŚMIERCI

Pod datą 6 marca 1944 r. kpt. Andrzej Czyński zanotował w dzienniku bojowym I plutonu Samodzielnej Kompanii Komandosów. *Istnieje obawa przed odejściem do 2 Korpusu (Polskiego).*

Skrwawiona w walkach nad Garigliano Kompania odpoczywała właśnie od miesiąca we wsi o dźwięcznej nazwie S. Adera di Vico Equense nad brzegiem Morza Tyrreńskiego, na skalistym półwyspie między Neapolem a Salerno. Okolica była piękna, a rozciągające się wokoło miejscowości - znane doskonale od lat dziecińczych z lekcji historii i geografii: Pompei, Castellamare, Sorrento. Blisko stąd było do Capri, a na północy, odległy o 20 kilometrów w linii prostej od S. Andrea di Vico Equense, dymił Wezuwiusz. 9 lutego odwiedził kompanię dowódca 2 Special Service Brigade komandosów brygadier Tom Churchill, dokonał przeglądu oddziału i wyraził uznanie dla postawy i osiągnięć żołnierzy nad Garigliano. Trenowano teraz codziennie intensywnie, aby odzyskać nadszarpniętą w ciężkich zmaganiach z nieprzyjacielem fizyczną kondycję. Wraz z innymi oddziałami komandosów Polacy odbywali specjalne morskie ćwiczenia na desantowych łodziach - LCS-ach. Mówiło się o spodziewanej wkrótce jakiejś typowo komandosowej akcji: gdzieś w okolicach Rzymu lub na odcinku alianckiego desantu pod Anizo, który przeżywał tam właśnie swoje ciężkie chwile.

Tymczasem 2 Korpus Polski, po wylądowaniu we Włoszech, zajmował od początku lutego dawne angielskie stanowiska nad Sangro, miejsca tak dobrze znajome polskim komandosom. Na odcinku Capricotta stała 3 Dywizja Strzelców Karpaccich; rejon sąsiadujący z Villa S. Maria, tylekroć przemierzony przez patrole Samodzielnej Kompanii, obejmował swym działaniem 12 Pułk Ułanów Podolskich.

Pogłoskę, w odejściu pod rozkazy 2 Korpusu komandosi przyjęli - jak widać z ich dziennika bojowego - z dużym niepokojem. Nie chcieli wyzbyć się swojej niezależności, pozycji w doborowych, owianych bohaterską legendą oddziałach. Szczególnie teraz, gdy weszli nareszcie do akcji frontowych. Być może podejrzewali, że z 2 Korpusu już więcej do

szeregów 2 Special Service Brigade nie powrócą. Wreszcie, należy pamiętać o pewnym „rozwarstwieniu” jakie panowało wśród żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych, o różnicach, jakie zachodziły pomiędzy przybyłymi z Wysp Brytyjskich „lordami” czy „ramzesami” generała Kopańskiego wsławionymi walkami pod Tobrukiem i Gazelą, a „buzułukami”, którzy wywodzili się z armii tworzonej przez generała Andersa w Związku Radzieckim i stanowiącymi trzon 2 Korpusu. Łączył tych wszystkich żołnierzy wspólny mundur. Ale też dzieliły nie tylko parciane pasy noszone przez „kompańczyków” i skórzane, przez resztę żołnierzy, lecz nieraz odmienny sposób patrzenia na świat, na politykę. No i trzeba na koniec pamiętać, że polscy komandosi byli jednostką bardzo ze sobą zżytą, pozostającą od dwóch lat na etacie brytyjskim, wrośniętą w społeczność brytyjskich komandosów. *Wyczuwam olbrzymią spójnię - pisał 14 marca kpt. Czyński - która łączy nasz obecny zespół. To ta włośnie przeżyta razem przeszłość - ona zespoliła nas bardzo silnie. Wszyscy to czujemy, a wykładnikiem tego głosu: nawet do Burmy, były razem.*

Pod koniec marca wojskową sielankę w S. Andrea di Vico Equense zakłóciły... siły natury. 20 marca Wezuwiusz wybuchł z niespotykaną siłą. Był to wybuch największy od 1906 r. Stożek wulkanu ział ogniem, po zboczach lały się potężne potoki lawy niszcząc położone niżej wsie i osady, popiół sypał się obficie nawet na wieś zajęta przez polskich komandosów. Wówczas to miało miejsce słynne „entrée” moździerzysty sierżant Teperka... Pewnego dnia do kancelarii kompani wpadł jak bomba nieustraszony obrońca Pescopennataro wołając wielkim głosem:

„Panie kapitanie! Dymajmy - k... jego mać - lepiej z powrotem do naszego Pesco, bo - k... jego mać - giniemy tu spopielone! I potem Włochy będą nas po latach pokazywać jak tam, w Pompei, za forszę, jako ichnie „komandosy rzymiańskie”!!! Niedoczekanie - ichżesz k... jego mać - panie kapitanie!!!”

Pogłoski o przydziale taktycznym do 2 Korpusu okazały się niepłonne. W pierwszych dniach kwietnia komandosi opuszczali okolice Neapolu udając się w kierunku bazy 2 Korpusu Polskiego. *Każdy z nas boi się 2 Korpusu, boi się utraty ukochanej samodzielności - pisał wyruszając w drogę kpt Czyński, a następnego dnia, 4 kwietnia 1944 r., po przybyciu na miejsce zauważał: Busso. Przydzielono nam tę wioskę na chwilową siedzibę. Wszyscy tutaj w Korpusie wiedzą o nas. Interesują się nami, jednak patrzą z nieufnością i jakoś krzywo; czyżby zazdrość? Zobaczymy. Zaś dowódca II plutonu, por. Antoni Zemanem (został nim po mianowaniu por. Stefana Zalewskiego zastępcą dowódcy kompanii na miejsce zabitego nad Garigliano rtm. Stanisława Wołoszowskiego) dodawał tego samego dnia, dzieląc się swoimi refleksjami: *Zanosi się na dalszy ciąg odpoczynku, już pod opieką władz polskich. Odwykliśmy od wielu rzeczy w jednostce administrowanej i dowodzonej przez Anglików. I jeszcze po dwóch już tygodniach pobytu w 2 Korpusie, kpt. Andrzej Czyński: W Special**

Service Brigade powiedziano nam, że przydzielono nas do 2 Polskiego Korpusu na okres, gdy S. S. B-de wchodzi w skład oddziałów pracujących na Balkany. (...) Z Polakami jakoś nam nie najgorzej idzie - wszędzie się można dogadać, choć okrężną drogą i po przełamaniu pierwszej jakiejś nieufności.

Informacja w sztabie Toma Churchilla o czasowym przydziale do Korpusu była tylko opowieścią na otarcie łez. Od tej chwili Samodzielna Kompania Komandosów nigdy już nie powróciła w szeregi 2 Special Service Brigade. Co więcej, wówczas, w końcu kwietnia 1944 r. drogi polskich i brytyjskich komandosów rozeszły się na zawsze.

Trzeba przyznać, że nasi komandosi stają się dla 2 Korpusu „oczkiem w głowie”: sypią się na nich awanse i odznaczenia, rozpisuje się o ich wyczynach prasa wojskowa. W pierwszy dzień Wielkanocy, 9 kwietnia 1944 r. otrzymują z rąk Naczelnego Wodza, gen. Kazimierza Sosnkowskiego krzyże i ordery. Do dekoracji staje 21 żołnierzy z napisem „Commando” na rękawach. Srebrny Krzyż Orderu „Virtuti Militari” otrzymuje kpt. Andrzej Czyński; takie same odznaczenia - pośmiertnie, rtm. Wołoszowski i st. strz. Rogucki. Większość spośród przedstawionych do odznaczenia żołnierzy - Krzyż Walecznych. Szereg oficerów i podoficerów awansuje o jeden stopień.

W dniu 11 maja 1944 r. kpt. Czyński, wiedziony jakimś przecuciem zapisał w dzienniku: *Czymś pachnie... (...) „Wódz” nasz wezwany był do Korpusu: czekamy! Robi się przygotowania, strzela, uzupełnia, dopasowuje i... gimnastykuje!*

Jakoż w trzy dni później wypadki zaczynają się toczyć błyskawicznie: o godz., 12.00 w dniu 14 maja - pogotowie marszowe całej kompanii; o godz. 16.00 wyjeżdżają ciężarówkami w pełnej gotowości bojowej, do Aquafondata, gdzie zostają podporządkowani, pod względem taktycznym 5 Kresowej Dywizji Piechoty.

Od 11 maja 2 Korpus bije się o Monte Cassino. Załamało się pierwsze natarcie, przetrzebione bataliony 3 Dywizji Strzelców Karpackich i 5 Kresowej Dywizji Piechoty spłynęły z usianych niemieckimi bunkrami Wzgórza 593 i Colle S. Angelo - Wzgórza Świętego Anioła, określonego później przez Melchiora Wańkowicza w książce „Monte Cassino”, jako Góra Anioła Śmierci. Te dwa wzgórza, usytuowane w centrum górskiego „amfiteatru” bronionego przez doborowe niemieckie jednostki spadochronowe i wysokogórskie, są kluczową pozycją niemieckiej obrony. Jeżeli zostaną zdobyte, Niemcy tracą kontrolę nad szosą nr 6 wiodącą doliną rzeki Liri ku Rzymowi i dalsza obrona na tym odcinku może mieć już tylko znaczenie opóźniające.

Ku S. Angelo można się było najłatwiej przedrzeć przez podłużne wzgórze nazwane przez Amerykanów podchodzących tutaj w pierwszym natarciu na Monte Cassino, 12 stycznia, Fantom Ridge, po polsku: Widmo, bo - zabudowane bunkrami niczym wysoka górska forteca - objawiło się nagle jak zły duch Amerykanom, spoza innych wzgórz.

Najłatwiej! Wszedłszy na te obiekty (wzg. 593 i Widmo - MD) - pisał Wańkowicz - ściągało się na siebie powiązane ognie całego amfiteatru - wszystkich wzgórz. Albo trzeba niezwłocznie uderzyć (...) albo się zginie.

Na 17 maja przewidziane było drugie natarcie. Colle S. Angelo i Widmo miała zdobywać, jak poprzednio, 5 KDP. Polscy komandosi mieli stworzyć wraz, ze szturmowym szwadronem 15 Pułku Ułanów Poznańskich dowodzonym przez por. Cegielskiego tzw. „Zgrupowanie Commando” zwane też „Zgrupowaniem mjr. Smrokowskiego” który też objął dowództwo. Na ten czas dowództwo kompanii przejął kpt. Stefan Zalewski.

Cały 15 i 16 maja komandosi przesiedzieli w mizernych ziemnych schronach wykopanych na stokach rozpoczynającego się w pobliżu Aquafondata wąwozu Inferno. Tędy, pod ciągłym ostrzałem artyleryjskim, odbywał się nieprzerwany ruch pojazdów i pieszych jednostek 5 KDP w kierunku głównej podstawy wyjściowej do natarcia. Trzeba było po wydostaniu się z tego prawdziwego piekła, jakim było istotnie Inferno, przebyć pędzącymi po wariacku, prawie na oślep, łązikami zadymioną maskowniczymi świecami dolinę rzeki Rapido, aby dostać się na stromy, wąski, kamienisty trakt. Dawniejszy trakt mułowy, nazywany teraz Cavendish Road albo Drogą Polskich Saperów - ku chwale tych, którzy ją pod morderczym ogniem z ogromnym wysiłkiem, dzień i noc poszerzali.

Tędy, z rejonu wyczekiwania „C” pięto się w górę do rejonu „A”. Nad Drogą Polskich Saperów panowało wysokie wzgórze Monte Castellone zajęte częściowo, przez 15 Pułk Ułanów Poznańskich. Wspiąwszy się no stoki Monte Castellone miało się możliwość przeskoczenia na północną część Widma, a stąd na północno-zachodni stok Wzgórza Anioła Śmierci - Colle S. Angelo. Widmo usiane było licznymi, kilkusobowymi bunkrami niemieckimi wykutymi w litej skale. Na Cole S. Angelo każdy bunkier stanowił jakby oddzielną fortecę: siedziało w niej i po trzydziestu żołnierzy uzbrojonych po zęby. A naokoło rozciągała się „kpiel gór i jarów” (Wańkowicz). Tą drogą miała wyruszyć ku wierzchołkowi Wzgórza Anioła Śmierci polska kompania komandosów.

Autor znanych wspomnień „Wojna ludzie i medycyna”, lublinianin dr Adam Majewski, karpaczyk, który szereg dni spędził w słynnym Domku Doktora na tzw. „Wężu”, w pobliżu Wzgórza 593 przebywając jako pacjent po bitwie pod Monte Cassino w szpitalu wojskowym w Venafro, poznał tam m. in. dowódcę Samodzielnej Kompanii podczas walk o Cole S, Angelo, kapitana Stefana Zalewskiego rannego w czasie natarcia w rękę. Zapamiętał jego opowieści o szturmie, których cała sala szpitalna słuchała z zapartym tchem: *„Natarcie trwało kilka minut i odbyło się przez szeroki parów, którego sforsowanie byłoby nie lada problemem dla normalnego wojska. Wykonano je w miejsca, gdzie parów był stosunkowo zadymiony. Komandosi podczołgał się jak Indianie, przez zarośla naprzeciw stanowisk niemieckich i na dany sygnał, jak jedna wielka rodzina Tarzanów, skacząc i czepiając się*

gałęzi, konarów drzew i zrębów skalnych, przesunęli się ponad parowem bez żadnych strat. Nie jestem w stanie dzisiaj przytoczyć poszczególnych epizodów tego dziwnego natarcia ani wymienić nazwisk, pozostało mi w pamięci ogólne wrażenie, a przed oczami obraz wywołany opowiadaniem kapitana – komandosa.

Tak to wyglądało w szpitalnych opowieściach, w tworzącej się już bitewnej legendzie, we wspomnieniach odgrzebywanych przez autora po latach. W istocie, udział komandosów w walce o Colle S. Angelo to trzy doby krwawych zmagañ, wraz z kilkoma batalionami 5 KDP, później już tylko wraz z niedobitkami tych batalionów - z zacieklą, fanatyczną obroną niemiecką. To bezustanny ogień broni maszynowej i artylerii, wybuchy bomb alianckiego lotnictwa, żniwo dokonane na Samodzielnej Kompanii przez salwy niemieckich moździerz zaraz na samym początku natarcia, rankiem, 17 maja, które wyeliminowało oddział prawie na trzy godziny z boju.

A potem: cały 17 maja - walki na Widmie i na północnym stoku Colle S. Angelo. Odpieranie wściekłych niemieckich ataków, darcie się pod górę, oddawanie zdobytych pozycji i ponowne ich zdobywanie.

Gdy o godz. 9.50 dnia 18 maja 1944 r. Ułani Podolscy zatknęli biało-czerwoną flagę nad ruinami klasztoru na Monte Cassino, tutaj walka nie ustawała. Polacy uderzyli o 10.00 rano, ponowili atak przed 11.00. Ale obrona niemiecka była wciąż silna i wyczerpany zupełnie czołowy 14 batalion nie był już zdolny do następnego wysiłku. Dowódca natarcia, płk. Klemens Rudnicki sformował wtedy doraźną grupę z resztek 15 i 17 Batalionu, jednej kompanii batalionu 18, z przybyłych z różnych pułków nie biorących udziału w walce uzupełnień i z komandosów. Teraz więc szła ku szczytowi już tylko owo „grupa kombinowana” pod dowództwem majora Gnatowskiego i komandosi majora Smrokowskiego.

O 17.45, po ciężkiej walce, zdołali oni zająć północną część grzbietu Colle S. Angelo. W godzinę później wyszło silne przeciwnatarcie niemieckie i przez półtorej godziny trwał zażarty bój, podczas którego ważyły się losy walki. Wreszcie, o 19.30, komandosi gniotąc granatami Niemców w bunkrach, wdarli się na szczyt, opanowując zarazem prawie cały grzbiet niesamowitej góry.

Wystawiwszy noc na szczycie silną placówkę, skryli się na północnym stoku przed bezustannym, gwałtownym ogniem niemieckiej artylerii. Żołnierze majora Gnatowskiego, którzy mieli opanować południowy stok S. Angelo i sąsiednie wzgórze 575, nie zdołali przełamać niemieckiego oporu. Komandosi wystrzelili w niebo, po rozchodzących się torach, dwie białe rakiety układające się w znak litery „V” - „Victory” - znak zwycięstwa. Rankiem 19 maja Niemcy zaczęli odchodzić ze Wzgórza Anioła Śmierci, ze wzgórz okolicznych i z całego odcinka obrony.

Okolo południa również i polscy komandosi, zluzowani, zaczęli schodzić ku Widmu, a dalej przez stoki Monte Castellone na Drogę Polskich Saperów i jeszcze dalej, ku zacichłemu już inferno. Mieli 32 rannych i dwóch zabitych: podporucznik Adam Bachleda zginął na samym początku walki, pod ogniem moździerzy, kapral Jerzy Morenszyld zmarł na skutek przestrzelenia płuca. Wynieśli z ognia pamięć o zdarzeniach niesłychanych, trudnych do uwierzenia i do wyobrażenia. Ale to już temat na osobną opowieść.

(Ostatni odcinek z tego cyklu - w następy numerze).

Pierwodruk: „Kamena”, 1979, nr 6. s.6.